

We wrześniu 1939 r. dostał się do niewoli sowieckiej — prawdopodobnie w okolicach Równego na Wołyniu. Więzień Kozielska, zamordowany w Katyniu (Lista wywozowa 25/1 z 9 IV 1940).

Kazimierz Ruediger był zapomnianą ofiarą katyńską. Mimo że jego nazwisko widniało już na pierwszych listach ofiar Katynia (zestawionych jeszcze przez komisję MCK za Hitlera), długo pozostawał w zapomnieniu, aż do pamiętnego 2007 roku, kiedy prezydent RP śp. Lech Kaczyński postanowił uczcić ofiary Katynia pośmiertnym mianowaniem poległych oficerów na wyższy stopień oficerski. I w ten sposób kpt. Kazimierz Ruediger, został awansowany pośmiertnie do stopnia majora. Niestety, przy publicznym odczytywaniu nazwisk awansowanych oficerów, jego nazwisko zostało mocno zniekształcone. Jako jedyny żyjący krewny (Kazimierz Ruediger był bratem mojego dziadka), wystąpiłem ze skargą do odpowiednich urzędów i po walce z biurokracją, otrzymałem z Urzędu ds. Kombatantów oficjalne dokumenty, z poprawioną pisownią nazwiska dotyczące mianowania pośmiertnie Kazimierza Wilhelma Ruedigera na stopień majora.

Groby rodziny Rydygierów znajdują się na ewangelickich cmentarzach Kalisza i Warszawy, ale Kazimierz Rydygier długo nie miał swojego grobu, mimo że jego ciało wykopane zostało podczas ekshumacji ze wspólnej mogiły w lesie katyńskim już w 1943 r. Obecnie ma tabliczkę epitafijną na Cmentarzu Wojennym w Katyniu (Lista wywozowa 25/1 z 9 IV 1940, nr 3206 tabliczki epitafijnej na Polskim Cmentarzu Wojennym w Katyniu). Nazwisko mjra Kazimierza Rydygiera znajduje się też na tablicy ofiar katyńskich w Kaplicy Katedry Polowej w Warszawie oraz w spisie poległych w Katyniu, Miednoje i Charkowie zrekonstruowanej przez Muzeum Katyńskie, która ma być stałym elementem ekspozycji w przyszłej siedzibie Muzeum w Warszawskiej Cytadeli (12809. Kpt. Kazimierz RÜDIGER, ur.1903-03-01,Kalisz, lekarz Dep. Zdrowia MS Wojskowych, zm. 1940, Katyń).

Więcej szczegółów z życia Kazimierza Rydygiera przedstawię na spotkaniu Towarzystwa Przyjaciół Szpitala i Zamku Ujazdowskiego, gdyż zarząd tego Towarzystwa zaprosił mnie do wygłoszenia referatu o postaci mjra dra Kazimierza Rydygiera z cyklu: „Lekarze z rodziny Rydygierów” — na początku przyszłego roku. W styczniu br. wygłosiłem na spotkaniu w Zamku Ujazdowskim referat poświęcony postaci mojego słynnego przodka gen. prof. Ludwika Rydygiera — obrońcy Lwowa.

*dr Edward Rydygier*

**Edward Rydygier** – fizyk jądrowy z tytułem zawodowym Fizyka Europejskiego (EurPhys), doktor nauk technicznych, działacz Sekcji Nauczycielskiej Polskiego Towarzystwa Fizycznego, były Konsultant Banku Światowego w Ministerstwie Skarbu Państwa, wykładowca finansów i matematyki finansowej, specjalista z zakresu administracji samorządowej w Urzędzie m.st. Warszawy.

Edward Rydygier jest naszym parafianinem, warszawianinem związanym z Mokotowem i działaczem społecznym.

Kandyduje w obecnych Wyborach Samorządowych do Rady Dzielnicy Mokotów m.st. Warszawy z okręgu nr 1 – mającego w swoim zasięgu również naszą parafię i część starego Mokotowa – z listy nr 3, pozycja na liście 9.

W swoim programie ma zamiar zająć się zatrzymaniem dzikiej reprivatyzacji i doprowadzeniem do powstania Ustawy Reprivatyzacyjnej oraz lepszą segregacją i zagospodarowaniem odpadów w celu wykorzystania ich jako źródła energii.

nie różnił od wielu innych, babcia uklękła przy swoim tapczanie, by jak zawsze pomodlić się przed snem. Spałam z babcią w jednym pokoju, więc słyszałam wyraźnie jej ostatnie słowa: „Daj nam Boże wszystkim dobrą noc...” I to były naprawdę ostatnie słowa Babci. Pofrunęła prościutko do Pana Boga.

Modlitwa, jak wszyscy zapewne się zgodzą, jest czymś bardzo nam potrzebnym, zarówno jako piękny (a przynajmniej uroczysty) sposób chwaleń Boga, jak też – od dawna wypróbowana i uznana metoda wewnętrznego oczyszczenia i pocieszenia nas samych.

Sądzę, że długość modlitwy oraz język – bardziej lub mniej wyszukany, albo całkiem prosty – mają w gruncie rzeczy znaczenie drugorzędne i zależą przede wszystkim od osobistych upodobań modlącego się, a także od okoliczności, w jakich owa modlitwa jest zmagana: czy to głośno, czy jedynie w myśli. Wydaje mi się... Przepraszam, że tak często wyskakuję z moim „ja”, ale chciałabym oprzeć swe rozważania na konkretnych przykładach ludzkich zachowań – a czyje reakcje człowiek zna lepiej od swoich? Otóż wydaje mi się, że najistotniejszą cechą modlitwy winna być jej spontaniczność, szczerość i coś, co nazwałbym „pełnym zaangażowaniem”, choć może lepiej byłoby użyć słowa „namietność” czy „pasja”? Ma się rozumieć, nie mam tu na myśli takich gwałtownych reakcji jak głośne wykrzykniki, walenie się w piersi, że aż dudni, czy padanie ze stukotem na kolana. Pozostawmy takie ozdobniki postaciom z melodramatu. Modlitwa przecież może być gorąca, że aż parzy, a równocześnie niezauważalna dla otoczenia. Oczywiście, zdarzają się niekiedy reakcje zbiorowe, charakterystyczne dla całego wspólnie się modlącego tłumu, jak choćby radość, która ogarnia nas podczas wigilijnego nabożeństwa, czy nierzadkie łzy w oczach wielkopiątkowego zboru.

Oso biście bardzo sobie cenię modlitwę w milczeniu – czuję ukojenie, jakim darzy cisza; mam wówczas wrażenie, że przez krótką chwilę naprawdę zbliżam się do Boga. Wiele zresztą osób lubi przychodzić do kościoła wcześniej, gdy jeszcze jest pusty, i przez minutkę być sam na sam ze swym Bogiem.

Równie kojąco działa na wielu muzyka, zwłaszcza instrumentalna, która po prostu dodaje skrzydeł. Jednym z największych uroków takich modlitewnych chwil wewnętrznego wyciszenia jest poczucie lekkości, oderwanie od ziemi i jakieś trudne do określenia radosne piękno wynikające z tego, że oto chwalimy Boga i tak dobrze nam, że możemy Go w ten sposób czcić...

Nie zapominajmy jednak, że są również chwile – a co gorsza – godziny, niekiedy nawet i tygodnie, w których modlitwa staje się czymś nieuchwytnym lub niesłyszalnym trudnym, wysiłkiem przekraczającym nasze siły. Znam dobrze taką modlitewną niemożność i rozpacz. A przypuszczam, że znamy ją wszyscy – w mniejszym lub większym stopniu. Niekiedy jest to związane z jakimiś wyjątkowo bolesnymi przejściami, z jakąś stratą, z którą nie możemy się pogodzić, z jakąś życiową klęską. Czasem jest to rodzaj paraliżu duchowego; słowa i myśli nasze stają się wtedy odporne jak niezwykle twarde drewno czy skała – trzeba je wyrąbywać przemocą. Niekiedy też nawet te najbliższe, znane „od zawsze” słowa – choćby Modlitwy Pańskiej – wydają się puste, niepojęte, niezrozumiałe, jakby to był tekst w zupełnie dla nas obcym języku.

Pozwolę sobie zacytować w tym miejscu dwa króciutkie wiersze (nazywam je „małymi modlitwami”), w których jest mowa o takich właśnie raz uskrzydłonych, to znów wyrąbywanych kilofem modlitwach i o stanach duchowej niemocy:

*Wołam do Ciebie  
W zamęcie barw i ciemności,  
Modlitwą zwiewną jak obłok,  
Strzelistą jak lot jaskółki  
Lub ciosaną w odpornej skale...*

*Usiłuję przebić wzrokiem nieskończoność,  
Dotrzeć do Ciebie.  
Nie mogę –  
Nie potrafię!  
Ale patrzę, patrzę, patrzę...*

Modlitwa to coś absolutnie zdumiewającego: równoczesne poczucie własnej mocy i własnej małości, cierpienie i rozpierająca radość, wielobarwność słów i pokorne milczenie.

Modlitwa nieraz boli. Nawet bardzo.